

Mont Blanc „Drogą Papieską”

Cel – Monte Bianco (4808 m n.p.m.)

Kiedy – 25-31 lipiec 2015

Kto – Dziku & Aga & Grzechu & Marcin

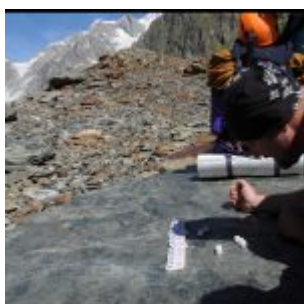
Tekst i zdjęcia – Dziku



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



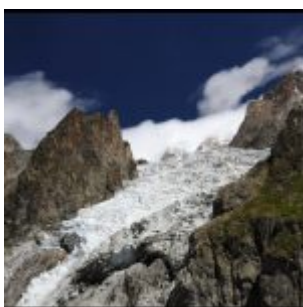
Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny.
Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



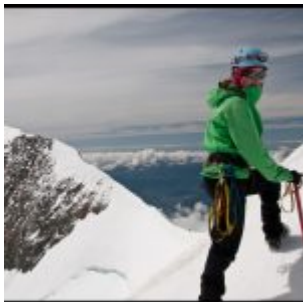
Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



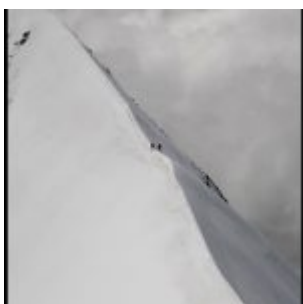
Widok z namiotu



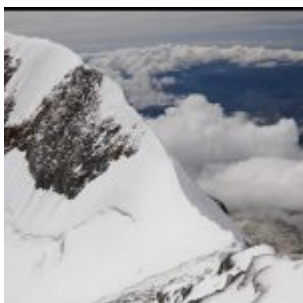
Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok... miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświeśla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszedliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

Piszą w periodykach

Droga na Mont Blanc od strony francuskiej przez ostatnie tygodnie jest „zamknięta”. Nie wiem dokładnie na czym w praktyce polegało to zamknięcie (szlaban? tabliczka? drut kolczasty?) , ale na pewno było to podane do publicznej informacji. Zresztą, zerknijmy do sieci:



A więc co najmniej 2 wypadki śmiertelne w „kuluarze śmierci” pod Gouterem. Why? Spadające kamienie. Why? Because ciepło. Bardzo ciepło – czasem zero stopni dopiero na 4800 metrach. Czyli podsumowując: rosyjska ruletka przy pięknej pogodzie na „najłatwiejszej” drodze. Na tej, co to nią ponoć dzieci i staruszki wchodzi. Przynajmniej w opinii tych, co o zdobywaniu alpejskich szczytów wyobrażenia nie mają i tyle wiedzą, ile na niefachowym portalu wyczytali. A jak się kiedyś wybiorą to się przekonają, co to znaczy względność. Bo podczas akcji górskiej wszystko jest względne. Jedno i to samo może pomóc i zaszkodzić. Nadmiar i niedobór jedzenia, wychłodzenie i przegrzanie, towarzystwo i brak towarzystwa, strach i odwaga. Jedynie nie potrafię dla odwodnienia dobrać pary. Bo w górach

nie da się wypić za dużo. No chyba, że przypomnę sobie wmuszanie we mnie przez Agę kubka herbaty na Kazbeku, co się natychmiastowym rzygiem skończyło.

Którędy na szczyt

My nie chcemy przekładać wyjazdu i zamknięciem francuskiej drogi wcale się nie przejęliśmy. Weszliśmy na Mont Blanc w 2009 od strony włoskiej – wejdziemy i teraz.

W składzie oprócz mnie: Aga, Grzechu i Marcin. Doświadczenie alpejskie: od „zielonka” do osób doświadczonych. Oczywiście mierząc to miarą ilości wyjazdów i wejść na alpejskie szczyty, bo raczej nie miarą obycia ze sprzętem. Ja i Aga to zgrany duet, na koncie mamy już sporo szczytów. Wśród największych przygód wymienię taniec z czterotysięcznikami na Monte Rosa w 2011, zimowe wejście na Mont Blanc w 2012 oraz picie herbatki na 7134 m n.p.m. w 2013. Ta zimowa przygoda z Mont Blanc to skończyła się dobrze jedynie jakimś fartem. Wtedy się nie bałem, a dziś myśląc o tym boję się jak diabli i nie sądzę, bym się drugi raz na coś takiego pisał.

Słabą stroną naszego duetu jest to, że jesteśmy teraz małżeństwem, więc czasem kłócimy się o duperele. Ale bez przesady – w końcu góry to to, co nas połączyło, i to na tyle mocno, że zaledwie tydzień lub dwa tygodnie przed tym wyjazdem począł się nasz syn. Sam się począł, bo trochę nieplanowanie. Dlatego też na wyjeździe, który tu opisuję jeszcze nie mamy o tym pojęcia.

Kolejny członek ekipy to Grzechu, dusza bardziej podróżnika niż alpinisty. Ale to gość, który w ostatnich miesiącach wszedł na 3 pięciotysięczniki. Najpierw przykładowie z ekipą zaliczył Kazbek w Gruzji, a następnie ekipę i sprzęt odesłał do domu, a sam, w *sandałach (jak to Grzechu)* wszedł na Damawand i Ararat. Przygód z tego wyjazdu mógłbym słuchać i słuchać. Zresztą do tej pory jak widzę bigos z Lyofooda to przypomina mi się Grzech, któremu bigos ten na wysokości wylaływał wszystkimi otworami, łącznie przez nos.

No i Marcin – harcerz z Bieszczad. Marcin jest trochę jak Laura w 2009 roku, kiedy to też wchodziliśmy „Drogą Papieską”.

Czyli bez doświadczenia wysokogórskiego, ale wspaniale zmotywowany i silny. Różnica jedynie taka, że Laura to raczej sportsmenka, a u Marcina z regularnym treningiem to w tym okresie było nie po drodze. W każdym razie pokazał, że można wejść na najwyższy szczyt Alp stosując trening polegający na chodzeniu w gumiakach z psem wokół domu.

Etap aklimatyzacji na Gran Paradiso na razie pominię i skupię się na wejściu na ten główny cel – Monte Bianco.

Start

27-go lipca przyjeżdżamy na pole namiotowe do Courmayeur. Mamy już z trasy okazję zerknąć na nasz cel od południowej strony. Kawał bydlaka:



Mont Blanc od południowej strony

Na polu namiotowym robimy szkolenie pt. „jak wyjść ze szczeliny”. Nikt z nas jeszcze ze szczeliny nie wychodził, ale tak na chłopski rozum to można sobie wyobrazić jak to jest i co należy zrobić: w pierwszej kolejności należy ściągnąć buty i skarpetki, następnie rozebrać się do bokserów, zawisnąć w

upręży i zapierając się o drzewo wołać do przejeżdżających samochodów.



Szkolenie lodowcowe

Tak, teraz możemy spać spokojnie i na drugi dzień bogatsi o zdobytą wiedzę ruszyć do boju. Ale najpierw to pojedziemy na pizzę, bo w końcu to Włochy.

Rano 28-go lipca podjeżdżamy nieco samochodem, po czym ruszamy z wyładowanymi plecakami. Początkowo droga do Combal – wygodna, szeroka, przejezdna dla samochodów. Potem wdrapujemy się na lodowiec morenę lodowca Miage – tu zaczyna się nasza droga krzyżowa. 5km człapania i wyszukiwania drogi wśród olbrzymich bloków skalnych i drobnej kruszyny, które wypełniają każdy fragment lodowca. Pod kamieniami lód i szczeliny, do których spadają trącone głazy. Dziś jednak jesteśmy wypoczęci i zmotywowani widocznym na skale punktem – to schronisko Gonella (3071 m). Nasz cel na dziś to dotrzeć do niego i gdzieś w jego pobliżu rozbić namioty.

Po przeczłapaniu lodowca Miage mamy do pokonania 500 metrów

przewyższenia wspinając się ubezpieczoną stalowymi linami i kłami ławą drogą wspinaczkową. Łatwą dla ludzików z lekkimi, małymi plecaczkami, my niestety znów dźwigamy toboły. Może nie jesteśmy tak drastycznie dociążeni jak w 2009, ale i tak wory powodują duży dyskomfort. Błędem było nie zabranie wody do bidonu u wejścia w skałę. Letnie słońce dało popalić i kiedy po paru godzinach docieramy do schronu Marcin jest praktycznie odwodniony. Wiele by dał za kroplę płynu, lecz niestety po drodze skały były zupełnie suche i nie minęliśmy żadnego ciek w wodnego. Marcin przeżył na końcówce traumę, natomiast Aga zadowolona – podobało jej się to karkołomne podejście, pomimo sporego obciążenia na plecach.



W odnowionym schronie przy schronisku Gonella zostajemy przez dwie noce. Potrzebujemy regeneracji, poza tym pogoda nie zachęca do wyjścia wyżej. Nie znalazłem też w pobliżu żadnego miejsca na namiot, więc nie było wyboru – decydujemy się zapłacić za 2 noclegi. Tylko, że... naszym zwyczajem – nie mamy gotówki! Marcin nas ratuje, bo dokonuje operacji i akrobacji by przetransferować pieniądze z konta na konto innego

schroniska. Ci potwierdzają, że przelew dotarł i uff... nikt nas na deszcz i na lodowiec nie wyrzuci, a my możemy spędzić cały następny dzień na graniu w gry typu robaczki, karciany tysiąc i Dobble.

Odmieniony lodowiec

Jest przedostatni dzień lipca 2015 roku. Kluczemy między szczelinami, coraz mniej pewni siebie. Przeżywam, że lodowiec po raz kolejny nam sprawia niespodzianki. Już w 2009-tym stwierdziłem, że opisy drogi sprzed lat można do szczeliny wrzucić. Teraz w 2015-tym to znów inna bajka. Czemu tu się dziwić, skoro tak stromy lodowiec jak ten każdego dnia wygląda nieco inaczej, to coś dopiero, kiedy się go widzi raz na 6 lat. Parokrotnie znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, szukając wyjścia z labiryntu szczelin. Jeden moment szczególnie zapadł mi w pamięci, kiedy to stojąc na olbrzymich lodowych blokach dotarliśmy w ślepy zaułek. Nie sposób było przeskoczyć na drugą stronę i musieliśmy wrócić niżej by poszukać innej drogi. Podczas całej tej eskapady nie zrobiłem ani jednego zdjęcia. Byłem tak skupiony prowadząc grupę, że nie chciałem niczym się rozkojarzyć. Zresztą, najnormalniej w świecie bałem się. Chcę okazać górze najwyższy respekt, a manewry między szczelinami z aparatem w ręce mogłyby wyglądać nieco lekkomyślnie. Zresztą, sytuację w jakiej się znaleźliśmy w pełni oddałbym tylko filmując nas z wysokości, np. z drona.



Ludzie na takim lodowcu to drobinki

Obóz

W końcu docieramy w pobliże grani i rozbijamy obóz pod kamieniem, który jest rozmiarów naszego namiotu. Jest to wysokość około 3700 m, jednak czujemy pozytywny wpływ aklimatyzacji i troje z nas decyduje się popołudniu na dalszą wspinaczkę. Zwiad ma na celu odnalezienie drogi na przełęcz Aig. Grises (3810 m) i przejście kawałka grani w celu oceny warunków. Sprawa nie jest taka oczywista, jakby się wydawało. Lodowiec znacznie „osiadł” i aby przedostać się z niego na przełęcz, trzeba trochę pokombinować. Istotna informacja jest również taka, że nikt poza nami (podobnie jak to było w 2009 roku) tą drogą na szczyt w tym czasie nie wchodził. Jedyne ślady jakie widzieliśmy to te, które zostawił przewodnik z klientem schodzący na włoską stronę. Wejścia na szczyt dokonali oni normalną drogą od Chamonix. Ci jednak kluczowe miejsce ze szczeliną oddzielającą nas od stromego lodu prowadzącego na przełęcz pokonali zeskakując na niższy poziom. My do góry na kilka metrów nie podskoczymy, a przewieszony lód

skutecznie broni się i nie puszcza nas dziabiących go prostym czekaniem. Ostatecznie decydujemy się na wejście żlebem od prawej strony. Pokonujemy ten paskudny teren z sypiącymi się kamieniami i skręcamy w prawo w kierunku grani Bionassey. Sam szczyt Aiguille de Bionnassay (4052 m) przed nami prezentuje swoje wdzięki niczym Beyonce na okładce płyty, a doskonałym uzupełnieniem widoku jest dwójka wspinaczy podążająca krawędzią grani.



Bionassey nazwaliśmy Beyonce

Penis na lodowcu

Wracając ekscytujemy się widokiem naszego namiotu na powierzchni lodowca pod nami. Ale zaraz, co to? Za namiotem widzimy zarys wielkiego członka wydeptanego w śniegu. Małutki z tej odległości Marcin człapie po jego konturach. Musiał się nasz przyjaciel lepiej poczuć, skoro podjął się tak ryzykownego i twórczego zadania. Aga krzyczy z całych sił, by wrócił do namiotu, bo do szczeliny wpadnie. Marcin niechętnie

zawraca, a jak nam później się zwierzył, było mu smutno bo nie wydeptał kropki na końcówce. No to by było tyle, jeśli chodzi o nieurażanie góry. Zmartwiłem się przez chwilę, że góra się za to zemści, ale przecież Mont Blanc nazywany jest... Białą Damą! Taki małunek to nie kręgi w zbożu, więc powinien się Damie spodobać a wręcz ją ułaskawić.

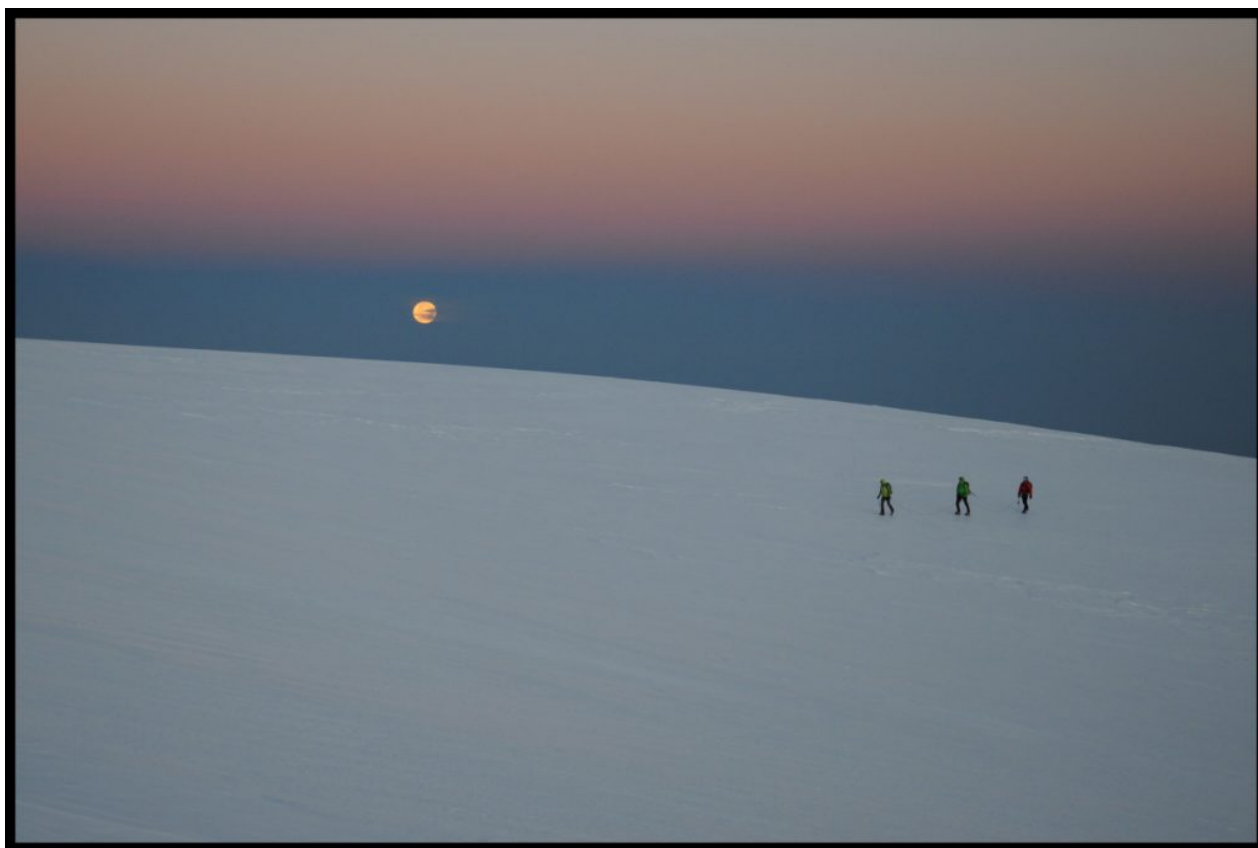


Widok z namiotu

Atak szczytowy

Nad ranem przeprowadzamy atak szczytowy. Jeszcze po ciemku wchodzimy na przełęcz i pokonujemy ostry jak brzytwa fragment grani. skalna gran! Idziemy niezwiązani liną, więc każdy odpowiada za siebie. Trzeba najostrożniej jak tylko się da stawiać każdy krok. Pomimo ciemnej nocy mamy świadomość pustki pod nogami. Potknięcie, upadek wiązałby się z lotem setki metrów w dół, nie do przetrwania w jednym kawałku. Po wyjściu na plateau na wysokości 4 tysięcy metrów teren nie wydaje się być już niebezpieczny. Białe pole pięknie oświeśla księżyc, a

niebawem nasza droga połączy się z tą od strony Gouter. Tam już widzimy sznur czołówek, gdyż jak się okazuje wczoraj odblokowano trasę i ponownie ruszyły tamtędy liczne ekipy. Najbardziej teraz dokucza wysokość. Już koło godziny 6-tej stoimy przed Vallotem. Tutaj Marcin zostaje na dłużej ze względu na kupę. Ta kupa mogła całkowicie pokrzyżować plany, ponieważ opóźnienie z nią związane fatalnie wpłynęło na psychikę właściciela. Kiedy zdyszany uporał się z uprzężą, zobaczył dwa oddalające się punkciki – to Aga i Grzechu stąpający już po grani Bossons. Pomiędzy nimi a Vallotem kolejny punkt – to Dzik robiący zdjęcia. Jak tam dojść? Jak ich dogonić? Ten kryzysowy moment jednak przezwycięża i krok po kroku zbliża się do upragnionego celu. Ten ostatni odcinek sprawia mu sporą trudność, ale cóż się dziwić – jesteśmy powyżej 4500 m i w płucach po każdym kroku brakuje tlenu. Wydolność organizmu na tej wysokości spada o kilkadziesiąt procent nawet u zaaklimatyzowanej osoby.



Krajobraz księżycowy

Przed 9-tą stajemy na szczycie. Nie pamiętam już dokładnie co wtedy czułem, ale na pewno mocno ścisnęło mi gardło. Choć od początku wiedziałem, że Marcin da z siebie wszystko, żeby osiągnąć szczyt i że jest on niezwykle silny i wytrzymały, to jednak rozpiera mnie duma widząc, czego dokonał. Ściskamy się i gratulujemy, lecz z tyłu głowy wciąż kołacze się myśl, że przed nami długa i niebezpieczna droga w dół. Na ostateczne ogłoszenie zwycięstwa przyjdzie czas przy samochodzie. I w życiu bym się nie spodziewał, że nastąpi to jeszcze tego samego dnia, że wieczorem wykończeni znajdziemy się na parkingu 3300 metrów niżej.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”

Powrót

Ze szczytu schodzimy tą samą drogą, jednak teraz zamiast księżyca świeci nad nami słońce. Zejście granią nie stanowi problemu, chociaż pamiętam poślizgnięcie i zachwianie się Marcina, które mogło się skończyć tragicznym upadkiem gdzieś

do stóp góry po włoskiej stronie. Grań Bossons, którą przechodziłem już kilkakrotnie nie stanowi jakiegoś specjalnego zagrożenia. Nie ma na niej niebezpiecznych nawisów i jest na tyle szeroka, by mogły się na niej mijać zespoły. Jednak należy być tam nieustannie czujny i nie można dać oszukać psychiki, tym bardziej, że przy zejściu zwykle spada koncentracja i następuje rozluźnienie. Dodatkowo w naszym przypadku nadal kontynuujemy marsz w stylu [„z pogardą dla sprzętu”](#), tzn. idziemy niezwiązani liną. Ma to szczególne znaczenie po dojściu do ostrej grani prowadzącej na przełęcz Grises. Tutaj idziemy lodowym stokiem tuż poniżej ostrza grani, stok jest stromy a nasze kostki niemiłosiernie powyginane. Jestem zestresowany poczwórnie – jeśli ktoś się poślizgnie, potknie – to dla tego kogoś koniec. Na zatrzymanie się na takim stoku pojedynczej osoby szanse są znikome. Jeśli ześlizgnąłby się cały zespół szarpnięty przez linę, która go wiąże – szanse oceniam jako zerowe. Dlatego idziemy wiedząc, że należy skupić się na sobie i tylko na sobie. A dokładnie na tym, jak stawiamy stopę, jak zęby raków wbijają się w lód. Jednak idąc jako ostatni i obserwując swoją kompanię nie potrafię pozbyć się uczucia troski o nich. Wyciągam aparat i robię zdjęcia. Inaczej niż to było na lodowcu tym razem nie widzę nic w tym niewłaściwego. Teraz droga jest jasna i każdy wie co ma robić i niewiele ode mnie zależy.



Decyzja

W końcu dochodzimy do przełęczy i szybko schodzimy do namiotów. Tutaj śmiechy i popas – odpoczynek, obiad i regeneracja, zakłócone jedynie kamienną lawiną. To była sytuacja dziwna, warta wzmianki. Bo kiedy tak chłopaki żartowali przed namiotem a ja z Agą oporządzaliśmy się w wejściu do naszego lokum – nagle zobaczyliśmy jak oni w niekompletnym ubraniu i bez butów zbiegają w dół lodowca. Zdezorientowany rozglądam się i widzę jak powyżej, zaraz obok miejsca, którym wchodziliśmy na przełęcz spadają skały. Lecą w kierunku namiotów, lecz znikają w szczelinie brzeżnej. Chłopaki po kilkunastu krokach zatrzymują się i wracają. Jesteśmy nadal bezpieczni. Ale czy na pewno? Ktoś podejmuje decyzję, że lepiej jeszcze dziś zacząć schodzić. Jest godzina 14-ta... czemu nie?

Nowa pozycja w apteczce

Lodowiec pokonujemy w dół bez większych problemów. Schodząc jest z reguły łatwiej, bo więcej widać i łatwiej się szczeliny

przeskakuje. Dochodzimy do schroniska Gonella, gdzie para turystów pakuje się z plecakami do helikoptera zaparkowanego na platformie. Kusi mnie by zapytać o miejsce dla Agi, jednak nie podejmuję się takich pertraktacji z pilotem. Helikopter odlatuje i za chwilę wysadzi turystów w mieście, podczas gdy my... właśnie wchodzimy na naszą drogę krzyżową. Pokonujemy 500 metrów przewyższenia po skałach i śniegu i schodzimy na lodowiec Miage. Po paru kilometrach Aga się ledwo wlecze. Proponuje nocleg pod kamieniem na tym skalnym rumoszu. Wybijamy jej to z głowy ze względu na kiepską prognozę pogody. Co, jeśli w nocy zacznie lać i będzie padało cały dzień następny? Aga nie daje za wygraną i nie chce kontynuować marszu. Doprowadza mnie tym do szału, bo choć też jestem bardzo zmęczony to kieruję się głównie logiką. Definicji słowa empatia wyszukam dopiero po powrocie do domu. Ale nawet, gdybyśmy zsumowali empatię naszą, tzn. trzech facetów, to nie jesteśmy w stanie poczuć się w skórze Agi, której zachowanie nietrudno wytłumaczyć ze względu na...

Wskazówka i morał: w apteczce każdego alpinisty powinien znajdować się obok plasterków i koca termicznego – test ciężowy!

Już w zupełnych ciemnościach docieramy do asfaltu. Pakujemy się do auta i jedziemy na pole namiotowe. Leje deszcz więc rozkładamy się na karimatach na podłodze baraku jadalni.

Epilog

Głównym motorem napędowym tego szalonego zejścia i pokonania 3300 metrów przewyższenia był Marcin. Ten manewr był o tyle ważny, że ulewa, która zaczęła się w nocy była niemiłosierna. O prognozie wiedzieliśmy, ale żeby zdobyć się na taki wysiłek w zejściu trzeba było czegoś więcej. Dziś nawet Aga przyznaje, że była to dobra decyzja. Marcin był osobą, która dała impuls do organizacji tego wyjazdu, w którym 4 osoby od początku zaprogramowane były na świetną zabawę i sukces. Sukces okupiony wielkim wysiłkiem psychicznym i fizycznym. Po co? Bo

jak pisał Wiktor Ostrowski w 1935 roku:

Trzeba przynajmniej raz zakosztować życia, w którym wszystkie wartości są odwrócone: pieniądz ma nie większą wartość niż otaczające Cię kamienie, rzeczy ważne przestają Cię obchodzić zgoła, liczysz tylko na siebie, a zamiast wszystkich tomów kodeksów praw masz tylko jedno, jedyne, ale to niezłomne prawo – BRATERSTWO LINY, którą jesteś w czasie podniebnej wędrówki związany z towarzyszem-przyjacielem!

Relację tę kończę pisać o dosyć nietypowym czasie, tzn. o godz. 23:55 w dniu 31.12.2018, tym samym ożywiając wspomnienia i życząc sobie w Nowym Roku kolejnych górskich przygód tej klasy.

Dziku



W komplecie na szczycie